ROZMAITOŚCI.

Dnia 9. Marca N.ᵉʳ 10. Roku 1844.

GUZIKÓW *).

W Saksonii silny pociąg miała dla mnie Raucha Królowa Ludwika, ujęta snem słodkim, owiana niewysłowionym urokiem wdzięku i dobroci! Ale jabym jéj zdjął był ten diadem z czoła — nie dobrze on się tu wydaje, i rzekłbym, nie przystoi osobie pod lekką, przeźroczystą śpiącéj obsłoną. Wszelako, gdy to dzieło za nienaganne uchodzi, nie udzielałem mojego zdania nikomu.

Lecz chociaż go nikomu nie udzieliłem, nie łatwo wszakże odstąpiłbym od niego. Gdzież bowiem jeżeli nie na czole nosi człowiek piętno swojéj wyższości? U starożytnych Pallas Athene, wzniosła reprezentantka wszelkiéj umysłowości, wytryska cała już zbrojna z czoła Zeusa. Aleźbo starożytni myślili; ich pomysły były pełne głębokości i prawdy, tak w prozie i wszelkiém umnictwie, jak w szczególności w poezyi; i słusznie mówi Budik:

Auch im Liede soll der Gedanke walten;
Das wussten sie, drum dachten sie, die Alten.

Lecz czémże są po większéj części nasze nowsze poezyje? Cóż powiem o tym jałowym brzęku i dźwięku, o téj najeżonéj, napuszonéj sentymentalności? Sami nawet mistrze, przed którymi ze czcią i uwielbieniem nasze czoło kłonimy, i którzy w głębie wszelkiéj istności badawczo się zapuszczali, podołaliż wiele ztamtąd wydobyć, coby już przed duchem starożytnych na jaśni nie stało?

Na wzmiankę o pochodzeniu Minerwy, zaraz się myśl popierająca nasuwa, mianowicie owe złote słowa Göthego: *»Sey er kein schellenlauter Thor; es trägt Verstand und rechter Sinn, mit wenig Kraft sich selber vor.«* W tych słowach pozna każdy wyrok wzniosłego jenijuszu. I są one w istocie wyrokiem; są niezbitém, odwieczném prawem, które każdy, do utworów duchowych powołanie w sobie czujący, nad swoim stolikiem, nad wchodem do swojéj pracowni, wielkiemi literami wypisać powinien; a jednakże nie są czém innem, tylko orzeczeniem pomysłu, który mitowi o Minerwie za podstawę służy, tylko środkiem pomocniczym dla tych, którzy nie zawsze są w stanie w znaczenie symboliki samodzielnie wniknąć.

Göthe wyrzekł owe słowa w swoim Fauście, piastunie, że się tak wyrażę, romantyczności. Kto ma sposobność, czas i ochotę, niechaj nazbiéra po niwach romantyczności i klasyczności podobnych wyrzeczeń, których jest bez liku, a małoważność sporu względem tych dwóch rodzajów umnictwa, który i w ojczystéj naszéj literaturze krótko wprawdzie, ale zacięcie się toczył, sama przez się w oczy mu wpadnie. Formę może każdy do przemiennego i przemijającego smaku swojego narodu stosować; nam chodzi o jądro, ale nie o łupinę.

O romantyczności, jaka nam się w Nibelungach przedstawia, nié ma tu mowy. Nie znajdziesz tam ani jednego wielkiego pomysłu, nawet i czucie tam milczy; płaskość i nienaturalność, a raczéj potworność, rozgościły się tam széroko, a o te niechaj ci się spiérają, którym zależy na rozprawach *de lana caprina,* czyli o niebieskich migdałach. Wszakże wielki nieznajomy, twórca tych wytworności, jaśnieje po Walhalli; niechże mu nikt nie zdziéra promiennego wieńca. Ale i owéj romantyki nié mam tu na myśli, o któréj powiedziano:

C'est un je ne sais quoi, dont on est transporté;
Et moins on le comprend, plus on est enchanté.

Viennet.

Lecz wróćmy do diademu na czole pięknéj królowéj Ludwiki. Nie jestto zapewne zadaniem umnictwa, to, co jest pięknem, szlachetném, wzniosłém, uposażać w przyboczne rzeczy, przy-

*) Jestto wyjątek ze szkiców podróżnych ziomka a przyjaciela mego S. P., w niemieckim języku pisanych, których część w dzienniku Mód Paryzkich [...] drukowaną była. Wstęp do niniejszego o Guzikowie spomnienia był także tam już umieszczony; dla zupełności wszakże i jaśniejszego pojęcia pomysłów autora, tu go powtarzamy.

W. Ch.

datkami oszpecać; inaczéj niesłusznie nosiłoby nazwę od umu, tego rdzenia i piérwotku duchowości naszéj.

Jeżeli tedy czoło człowiecze jest siedliskiem wzniosłości, niechże je człowiek nosi wolno, niech umnictwo nie usuwa go oku w żadnéj jego części, zwłaszcza, jeżeli na niém tyle spoczywa uroku, ile go królowéj Ludwice nadała natura, ta najwyższa, najpotężniejsza mistrzyni. A jeżeli się umnikowi podoba przekazać do późnéj potomności znamię, po którém ma poznawać królowę, niech wreszcie umieści małą koronę u szczytu głowy, ale czoło niech zostawi wolném, niech je nie osłania diademem, nie odpowiadającym nawet celowi, gdy diademy noszą i kobiéty, które nie są królowe. Prawdziwa piękność jawi się bez wszelkiego przyboru. Owa Wenera, z którą łączy się część sławy Medyceuszów, i któréj uroczego wdzięku i najwyższéj niewieściéj piękności nikt nie zaprzeczył, stoi bez wszelkiéj ozdoby, brak nawet zwykłéj przepaski, a tego braku nikt nie dostrzega. I mimowolnie znowu nasuwają się naszéj pamięci starożytni; oni wązką tylko złotą obrączką obwodzili swoich królów czoło, które przez to nic nie traciło. Wszędzie u nich panowała trafność uczucia i smaku.

Również nie służy to ku zwiększeniu wrażenia, gdy nawet w obrazach skąd innąd wytwornych, zamiast coby wawrzyn lekko tylko dotykał skroni, i czoło wydatniejszém czynił, przedstawiają się widzowi głowy bohatérów lub poetów obwiedzione sporym wawrzynowym wieńcem. Nie jestto wprawdzie od rzeczy, gdy winem i sprosnością skalane czoło rozmarzonego Sylena gęsty bluszcz ocienia; ale szlachetniejszego Dionizyjusza zdobi wązka opaska, a bluszcz i liść winny głowę tylko uwieńcza.

Te ulotne uwagi naprowadzają na dalsze. Świętość i wyższość nadziemską znamionuje malarstwo promienistym wieńcem, urobionym blaskiem, a przynajmniéj wązką obwódką około głowy się wznoszącą lub z-lekka ją dotykającą. Lecz czyliżby nie znalazł się inny duchowszy, że tak powiém, środek przedstawienia znamion nadziemskiego charakteru? Nie jestto zapewne tak łatwą rzeczą, gdy nawet nad głowami świętych postaci Rafaela wązkie unoszą się obrączki; ale jakkolwiek niekażdy temu zadaniu podoła, powiedzieć wszakże nie można, aby niepodobieństwem było; a kogo Bogowie szczodrzéj obdarzyli, dla czegóżby o najwyższą palmę pokusić się niemiał? Chrystus Danekera zbliża się do téj idei. Nie ujrzysz tam żadnych osobnych znamion — święta postać w pojedyńczéj postawie, pojedyńcza opłynęła szata; a jednak z piérwszém już wejrzeniem nikt niewątpi, że to jest boski człowieczeństwa nauczyciel, albowiem ten wzniosły utwór wyraża łagodną ale poważną godność, a szlachetne oblicze tchnie niebiańską wyższością i miłością bożą. I otóż duchowe środki do wyrażenia charakteru świętości lub znamion duchowéj w istocie człowieka przewagi, zwykle promienną obwódką oznaczanych. A jeżeli temu podoła mniéj uposażona plastyka, dla czegożby niemiało podołać w wyższym nierównie stopniu malarstwo, o wiele w środki bogatsze? I czyliżto tak zupełny, tak bezwarunkowy brak na ludziach duchem bożym natchnionych, których trafnie oddane oblicze posłużyłoby na wzór nie urobionego, ale samo przez się jawiącego się duchowego blasku?...

Przypominasz sobie zapewne, drogi przyjacielu, nazwisko wpółbarbaryńskiego brzmienia: Guzików; przypominasz sobie, że to był polski żyd — przymiot nie do pozazdroszczenia, do którego wielu, jak gdyby się to samo przez się rozumiało, przyłącza przyboczne pojęcie podłości i nikczemności; ale pomnisz także i jego piérwszego występu i tego radośnego wrażenia, jakie na nas uczynił. Czysta postać uderzyła tém miléj, że niespodzianie, tych wszystkich, którzy przygotowani byli usłyszéć coś pospolitego z rachuby chwilowego zysku. Ale to szlachetne, jasne, blade oblicze, ale to oko pełne blasku i ognia, przemawiały silnie: że ten żyd żyje głęboko-umysłowém życiem, że jego duch, lekko tylko cielesnością więziony, nawykł do swobodnego polotu wzbijać swoje skrzydła. Zaledwie poruszyły się patyczki, zaledwie piérwsze wywołały dźwięki, już zadrżały wszystkie jego nerwy i w jednę zlały się harmonię. Wewnętrzny żar i niewymowna błogość przeniknęły widomie jego duszę, rozpromieniło się jego oblicze i jakiś Bóg owładnął całego — a on stał, w światłości i uniebieniu, potężny, wymowny tłumacz słów poety: *»Est Deus in nobis, agitante calescimus illo.«*

Wyobraź sobie, zacny przyjacielu, postać tego Guzikowa w onéj chwili duchem pojętą i wiernie mistrzowskim pęzlem na płótnie oddaną, a pojmiesz jasno, co ja rozumiem przez te duchowości znamiona, które malarze promiennym wieńcem lub złotą około głowy wyrażają obrączką. Taką światłością opromienione musiało być oblicze Belliniego, kiedy dla swojéj Normy z nieba sprowadzając tony, łączył je i porządkował w harmonije. Guzików nie należy zapewne w poczet tych, do których Göthe się odzywa:

Wenn ihr's nicht fühlt, ihr werdet's nicht erjagen,
Wenn's nicht aus der Seele dringt.

Und mit urkräftigem Behagen
Die Herzen aller Hörer zwingt.
Sitzt ihr nur immer! Leimt zusammen,
Braut ein Ragout von andrer Schmaus,
Und blas't die kümmerlichen Flammen
Aus eurem Aschenhäufchen 'raus!
Bewunderung von Kindern und Affen,
Wenn euch darnach der Gaumen steht;
Doch werdet ihr nie Herz zu Herzen schaffen,
Wenn es euch nicht vom Herzen geht.

Ach tak, mój biedny, nader bogaty polski żydzie, tobie cisnęło się z duszy, tobie szło z serca, i dla tego wnikało do serca. Tyś mnie wprowadzał, jak żaden przed tobą, i żaden po tobie, w błogie krainy harmonii; tyś mi je dał, jak żaden jeszcze, pojąć i uczuć w całéj ich jasności i potędze. A gdyś potém, naciskany łakomstwem twoich tak niższych od ciebie towarzyszów, którym w czystości swojéj nieświadomie za narzędzie służyłeś, polecających listów odemnie zażądał, pomyślałem sobie i rzekłem: »I cóż oną mają w twojém ręku znaczyć? Idź bez nich, dokąd cię myśl wiedzie, ty w sobie samym nosisz otwarte pismo do całego świata.« I z-iściło się — im daléj zaszedłeś, tém głośniejsze szło za tobą uwielbienie. A jednak pospolite rzępoły wzbraniali się kilka kroków zrobić, ażeby cię słyszéć, i nie słyszeli cię, bo w rozumieniu swojém lękali się »poniżyć swoję wysoką artystowską godność.«

Guzików przybył do nas nieznany; żadna nie poprzedziła go sława. Wystąpiwszy zaledwie z swojego ukrycia, nie spotkał się jeszcze z nieuprzedzoném, z bezstronném o sobie zdaniem. I ja, i ty, przyjacielu, poszliśmy go słyszéć z niezbyt natężoném oczekiwaniem. Sala była w połowie pusta, a zgromadzenie po większéj części z półwyznawców złożone, których nie żądza wyższego użycia, ale plemienna sprowadziła próżność. Całym przyrządem do tego, co nastąpić miało, był prosty stół, na stole słomiane wiązaneczki w sposobie mat spojone, a na nich dłuższe i krótsze drewienka niciami umocowane; obok leżały dwa małe patyczki z twardszego drzewa, przeznaczone uganiać się po tém osobliwym narządzie. I czegóż można się było spodziewać? Najwięcéj, jeżeli znośnego, cymbałkowego brzęku, uciechy i roskoszy szynkownéj.

W tém występuje Guzików. Oko jego nie spostrzega szczupłego grona słuchaczów, duch jego nie oblicza zawodnego zysku — bo czyliż dla tego dzwoni skowronek, czyliż dla tego śpiewa Filomela, ażeby być słyszaną, podziwianą, ażeby na żér zarobić?... Guzików chwyta patyczki, uderza — i uroczy dźwięk się odzywa. Cisza dokoła — wszystko wstrzymuje oddech — wszystko poi się niespodzianą roskoszą. Potężny mistrz, sam zachwycony, porywa i zachwyca — w duszy się rozjaśnia, pierś się przepełnia nieznaną dotąd błogością. Coraz wolnieją pęta, które ducha wiążą; z głębi piersi dobywa on się przemożnie, zrzuca cielesności brzemię i, jak promień dalekiéj światłości błyska przeczucie uniebienia, kiedy ziemskie opadną okowy. I znowu brzmią i pieszczą ucho te dźwięki, i coraz bliżéj przedziera się promień uszczęśliwiającego przeczucia, coraz oznaczniéj, coraz wyraźniéj — ale się nie rozpłomienia do zupełnéj jasności *). Lecz za nadto rychło przebrzmiały, uleciały te czarowne tony —

I jabym kiedyś chciał w błogim zachwycie,
Tak, jak te tony, w lepsze przebrzmiéć życie.

Müllner.

---

*) Mogłoby się zdawać, że przyjaciel mój, w uniesieniu indywidualnego czucia, kreśli tu obraz raczéj chwilowych marzeń swoich, niż rzeczywistego zjawienia. Przed tym zarzutem zasłonią go może słowa sławnego podróżnika po wschodzie, znawcy ludzi i świata, tyle uczonego ile doświadczonego Falmerejera, którego opisu góry Athos udzieliła nam Gazeta powszechna (Nr. 85. r. z.): »Zapewne przypominasz sobie jeszcze« mówi on, »wyraz Hezychaści, jak nazywano Anachoretów, czyli pustelników leśnych na Athos przed Reformacyją Atanazego. Wyraz ten oznacza ów niewysłowiony, europejskim światowcom trudny do wyjaśnienia, stan zupełnego zatopienia się potęgi duchowéj w Bogu, które, nito moralne opium Wschodu, sprowadza niewypowiedziany zachwyt duszy, owoc indyjskiego słońca i przerażającéj, grobowéj puszczy po-za egipskiémi Theby. Pustelnicze siedziby na Hagion-Oros są najodleglejszym ku Zachodowi punktem, dokąd sięgnął mistyczny gorącéj Strefy obyczaj. Ażeby w téj do najwyższego stopnia posuniętéj ascetycznéj wizyi roskoszować — według podania pewnego z mistyką obeznanego mistrza — usiada taki poświęceniec w zakątku zamkniętéj celi, opuszcza głowę na piersi, i zapominając o wszystkiém, co jest ziemskie, wpatruje się w początku obłudnie i smętnie, ale wnet z niewysłowioną błogością tak długo w dołek podpiersiowy, aż odkryje miejsce serca i siedlisko duszy; a gdy mu się to powiedzie, ogarnia jego ducha tajemnicza, eteryczna światłość, którą Hezychaści na Athos, w marzycielskiém upojeniu i wezbraniu uczucia, mienili być czystą i doskonałą istotą bóstwa, i z lubieżném nieledwie rozmiłowaniem czcili. Mosheim w swoich dziejach kościelnych rozumuje nad tą sceną, Gibbon śmieje się i przypomina sobie Bedlam, ja nic nie mówię, bo straszliwa samotność libijskiéj puszczy obudziła w mojéj duszy podźwięk, jakiego wszystka dialektyka i wszystkie brednie mędrców europejskich ani obudzić, ani przytłumić nie są w stanie.« — »Są rzeczy pod słońcem,« możnaby tu jeszcze przytoczyć, »o których ani się śni filozofii naszéj.«

*

Ale jak arfy Eola odbrzmiéwają one jeszcze w duszy:

Che la dolcezza ancor dentro mi suona!

Dante.

„*Der Busen wird ruhig, das Auge wird helle!*“ Przez takoweto tony przemawiał do nas Przedwieczny, kiedy w grzmocie piorunu, w szeleście wiosennych wietrzyków i w onéj miłości do człowieka, się odzywał, jaką płonie serce dziewicy, i jaką sobie wyobrażali starożytni w swojéj Wenerze Uranii.

Tegoto głosu podsłuchiwał człowiek od początku istnienia wszech rzeczy, i podsłuchał go wszędzie, i w szumie wodospadu i w żalach słowika i w uczuciu wzniosłego, szlachetnego czynu; podsłuchał go i u stóp niebotycznych lodowców, i nad brzegami roskosznych jezior — i wokoło ciebie prześliczne Gmunden, i około ciebie wzniosłe Berchtesgaden, na zawsze mi pamiętne. Przeczuwał, a przeczucie wznosiło go i dawało mu pociechę — ztąd téż i wierzył, i ztąd u wszystkich ludów i po wszystkie czasy wiara w nieśmiertelność, w wieczyste, samowiedne życie. Ale niestety, tylko wiara, bynajmniéj przekonanie! Przekonania nie da utęsknienie, niedadzą go żadne zaciekania się umysłowe — duch gubi się tylko w błędnikach myśli, zaspokojenia nie zdobędzie...

Bo co tam przepaść w swéj głębi ukrywa,
Tego niepowie żadna dusza żywa!

Szyller.

Bo i skądże, przy najbystrzejszych człowieczych wywodach, rękojmia: że wszechmocny zdąża do celów swoich torem człowieczego rozumu, że myśl człowieka musi być wraz i Boga myślą? Wszelkie filozofije wyziębią ci w końcu duszę, odbieży cię i przeczucie, a duch badawczy staje na rozstajnych drogach, nie wiedząc która, prawa czy lewa, do prawdy prowadzi. Guzików budzi przynajmniéj przeczucie, a przeczucie budzi wiarę. Głękokie więc znaczenie mają słowa Szyllera:

A na co rozum rozumnych nie wpadnie,
Umysł dziecięcy w prostocie odgadnie.

Wytworne dzieło umnicze, wzniosły utwór ducha, zwykle już w piérwszéj chwili przeważnie na umysł działa i nie dopuszcza doraźnego rozbioru; bo gdzie piérwsze już wejrzenie do szczegółowych uwag sposobi, tam pewnie dzieło pomiernéj wartości. Dla tego nikt na widok Luiniego Madonny nie troszcze sie o przeguby szaty, ani o przybory, ani o koloryt nawet, ale gubi się duszą całą w wyrazie całości. Toż samo wrażenie sprawiał Guzików. I któżby myślał o rozbiorze gry jego, kiedy wrażenie ogólne tak jest zupełne, tak potężne, tak wzniosłe? a któż ją rozbierze potém, gdy uleciały tony?

Lecz — zarzuci może kto, zarzuci może każdy, kto Guzikowa nie słyszał — i cóżto wszystko na stronę Guzikowa dowodzi? to wypisane uniesienie nieznawcy, te wybuchy kiedyś może nie ubogiego, ale w wieloletniéj powszedności małego miasteczka, pośród aktów i żmudnéj pracy, wypłonialego umysłu? Wybornie, wybornie mój antagonisto! Podaj mi rękę tylko, a ja cię zaprowadzę z Guzikowem przed dygnitarzów świata muzycznego, do Wiédnia, do Paryża. I cóż tam słyszysz? Może rozbiory nót, może rozprawy nad biegłością palców Guzikowa, nad szybkością jego prawéj albo lewéj reki? może rozumowania nad jego przeprowadzeniem fug, dokładnością jego *stoccato*, jego ligatury? Lub może budzi się tam zawiść, albo wyszydzenie? Nic z tego wszystkiego. W Wiédniu widzą w Guzikowie jednego z owych świętych śpiéwaków, duchem Bożym natchnionych, którzy w Babilonie nad Eufratem pod żałobnémi wiérzbami, poruszając struny arfy, płakali swojéj ojczyzny; a w Paryżu, uznając jakoby, że jego drogi nie są z tego świata, robią z niego mistyczną istotę, która na Kaukazie na świat przyszedłszy, na grobie matki swojéj przez półtora wieku kontemplacyjne życia wiodła, dopóki ów promień niestał się jéj własnością, za którego skradzenie Prometeusz tak ciężko pokutował. Tento promień poniósł on w świat, ażeby nim duchy do wyższych zapalać uniesień *). W te słowa odzywa się tylko natchnienie; a kto natchnienie budzi, ten wielkim jest mistrzem —

Wer sie nicht kennte,
Die Elemente,
Ihre Kraft
Und Eigenschaft:
Wäre kein Meister
Uiber die Geister.

Göthe.

Z najgłębszym udziałem, mój biédny polski żydzie, szła moja myśl za tobą — odgłos twojéj sławy radował serce moje. Ale ty byłeś meteorem, który zaledwie promiennym blaskiem zajaśniał — już i zniknął! Wieść o twym skonie, żałośnie mnie przejęła, ale nie była niespodziana. Silny duch musiał skruszyć słabe ciało; wewnętrzny żar wątłą strawié powłokę. Spoczywa ona w Akwizgranie; a jeżeli prze-

*) W Berlinie znaleźli się muzykalni spekulanci, którzy Guzikowowi 15,000 talarów i zastąpienie wszelkich wydatków podróży i pobytu ofiarowali, pod tym jedynie warunkiem, aby z nimi do Londynu się udał i tem odstąpił im dochód dwóch koncertów. Wykonanie wszakże tego zamysłu nie było już możliwem, bo Guzików już podtenczas schylał się do grobu i wkrotce w Akwizgranie umarł.

czucia przez ciebie zbudzone nie są marzeniami — tedy duch twój wzniósł się w wyższą krainę, gdzie teraz przysłuchuje się harmonii światów u tronu Jehowy! —

Nie weźmiesz mi za złe, szanowny przyjacielu, iż ja, zamiérzając tylko w krótkości dać ci sprawę z podróży mojéj, zapuściłem się w estetyczną rozprawę; tém mniéj poczytasz mi to grzéchem, iż myśl potrącona diademem królowéj Ludwiki, wywołała prawie mimowolnie spomnienie o moim ulubieńcu — tak mało u nas ocenionym!

Niewidomy nieprzyjaciel.

(Dokończenie.)

Już rok mijał, jak te wypadki zaszły. Katalonija uspokoiła się więcéj, niż inne prowincyje Hiszpanii, jużto przestrachem groźnéj masy wojska, które się w niéj rozłożyło, już téż przez łagodne obchodzenie się marszałka Suchet, który w téj prowincyi miał komendę. Bandy guerylasów zostały rozprószone, a te, które się ostały, nie ważyły się czynić napadów, lub téż wyniosły się do ościennych prowincyj; z tém wszystkiém pojawiała się od czasu do czasu mała garstka, *partida*, która zaprzątała uwagę Francuzów. Małe te bandy, wzmacniane najwięcéj napływem niechętnych kmieci i przemytników, nie słynęły ze śmiałych napadów; tak małe i nie znaczące były ich czyny, że głos powszechny częstokroć podawał ich całą siłę na dwóch lub trzech ludzi. Ubić dragona wiozącego depesze, przebić sztyletem sługę oficerskiego, wiodącego konie do pławienia, lub zamordować stojącego na straży żołnierza, takiémi tylko czynami prawie codziennie słynęła *partida*; bywało czasami, że trzy lub dwie małe placówki legły pod sztyletem, lub że kule niewidomych nieprzyjacioł zmiotły wracający z konwoju oddział z pięciu lub sześciu dragonów.

To systematyczne, tajemne mordowanie oburzało oficérów dowodzących załogami; wysełano więc oddziały na schwytanie gerylasów; nieraz przyprowadzono i jeńców, lecz jak się zdawało, nie bylito ci sami, których szukano, bo morderstwa niewidomego nieprzyjaciela — tak go wojsko nazywało — trwały ciągle, bez przerwy.

Razu jednego — byłoto w godzinę po wschodzie słońca — kiedy w pięknem małem miasteczku Tora, uderzono na pobudkę. Oficérowie francuzcy zebrali się na śniadanie, które kucharz pułkowy z ryżu i wieprzowiny sporządzał.

Na targowicy, przed drzwiami wielkiego domu na koszary przysposobionego, stała grupa żołniérzy, którzy, o ile z ich żywych ruchów wnosić było można, o niezwyczajnéj rozmawiali rzeczy.

»Co mówicie? Zamordowany? Sztyletem zamordowany?«

»Dnia wczorajszego wieczorem na swoim posterunku,« odrzekł jeden z grona do towarzysza, który właśnieco zbliżywszy się, uczynił to zapytanie. »Jeden z najdzielniejszych w całym batalijonie, który będąc w słuźbie, nigdy oka nie zmrużył! *Sacre Dieu!* Jeźli tak daléj pójdzie, my tu wszyscy nie jesteśmy pewni życia. *Le pauvre Jolibois, va!*«

»Raz przecie trzeba wyśledzić tego niewidomego wroga, rozumié się, jeźli się da wyśledzić,« rzekł inny. »Na moję poczciwość, mnie się zdaje, że ta tajemnicza istota nie jest człowiekiem, bo któż go widział? Przynajmniéj nikt z żyjących. Ten niewidzialny szatan nie rani nikogo, ale zabija od razu! Jego nóż i kula nie chybiają nigdy.«

W téjże chwili wyszedł młody oficer z domu po drugiéj stronie targowicy, a przemówiwszy słów kilka do służbowego sierżanta tuż za nim idącego, skręcił w najbliższą ulicę. Sierzant zbliżył się do żołniérzy.

»*Tiens, tiens!*« zawołał jeden z grona, »zapewnie dostaniemy jaki rozkaz, może jaka eskorta.«

»Zgadliście *mes enfans*,« przemówił oficer, »tylko tym razem służba wasza będzie ważniejszą, niż się spodziéwacie. Dwudziestu i pięciu ludzi, na których kolej przypada, niech się natychmiast uzbroi do pochodu. Porucznik Larose wyruszy z wami za dziesięć minut, tylko mężnie i śmiało, wiécie, że on nie żartuje.«

Jakoż niebawem oddział ten pod przewodnią wspomnionego oficéra opuścił miasto. W ciągu czterogodzinnego pochodu śród skwaru słońca po piaszczystych ściéżkach, wpadały żołniérze na różne domysły o celu téj wyprawy, lecz zdania były podzielone, w końcu nie wiedziano, co o tém myślić.

W niedługim czasie przyszli do kamiennéj kapliczki z obrazem Najśw. Panny, przy ściéżce wiodącéj w głąb wąwozu między góry. Ta kaplica była jak się zdawało dla oficera znakiem, w którę się ma udać stronę, gdyż tu opuścił prostą drogę i udał się głębiéj w góry.

Idąc przez czas długi krzemienistą chropowatą ściéżką, ujrzeli się nagle w ostępie okolonym pagórkami, równina zniknęła im z-przed oczu, a na skalistéj płaszczyźnie ukazały się im w różnem oddaleniu stojące chaty. Jeden z tych domów większy nad inne, zdawał się być *posadą*, to jest domem gościnnym, to wskazywały wiszące nad oknami po-pod strzechę próżno

wojłoki z wina; tu kazał porucznik stanąć. Żołnierze dla pokrzepienia sił wzięli się do swoich bukłaków, a podczas gdy z drogi wypoczywali, porucznik udał się po drewnianych wschodach do głównéj izby tej odległéj szynkowni. Tam zastał pięć osób; trzy z nich byli kmiecie i pastuchy mułów, którzy na stole pośrodku stojącym, brudnémi kartami grali, a ujrzawszy Francuza, ponurém nań poglądnęli wejrzeniem; przy ogniu stała gospodyni domu, zajęta przyprawą jakiejś w glinianym garnku potrawy, a za piecem krył się jakiś człowiek tak troskliwie, że porucznik twarzy jego rozpoznać nie mógł.

Młody wojownik zażądał szklanki wina, i nim mu gospodyni usłużyła, zbliżył się śmiało do stołu, gdzie owi trzéj ludzie grą byli zajęci, i rzekł: »Dziś jest bardzo dzień gorący.« Nato powtórzyły się te same ponure wejrzenia, któremi oficera przy wstępie w izbę powitano, i znów nastało milczenie. Dopiéro po chwili dało się słyszeć z-za komina suche pokaszliwanie, a jakiś człowiek utykający na nogę, opierając się na kiju, kulał przez izbę szynkowną. Oficer zmierzył go ostrém spojrzeniem, lecz nieznajomy zdawał się nie zważać na jego obecność i kulejąc dom opuścił. W kilka minut potem, pokrzepiwszy się cokolwiek, wyruszył i oddział w drogę. Przy końcu lichéj wioski, którę przebyli, ujrzawszy jakiegoś wędrowca, zawołał oficer: »*Hola Camerado!*«

Tym wędrowcém nie był kto inny, jak tylko ten człowiek o kuli, który przed chwilą izbę szynkowną opuścił. Z powierzchowności nie zdawał się mieć więcéj nad nad 35 lat, rysy jego twarzy były ostro-wybitne, w brew zwyczajowi hiszpańskiemu miał włosy krótko ucięte, a na sobie ubiór z drelichu.

Gdy oficer porozumiawszy się z wędrowcem wejrzeniem zaczął z nim dość głośno rozmawiać, wtedy dopiéro dowiedzieli się żołnierze o celu wyprawy swojéj: że mają schwytać strasznego z bandy gerylasów Hiszpana, który słynął pod imieniem: Niewidomego.

W wędrowcu, który miał im służyć za przewodnika, poznali niektórzy z żołniérzy śpiega, którego jenerałowie francuzcy mieli często do zamiarów swoich używać.

Puszczono się pod przewodnictwem kulawego Hiszpana w drogę. Więcéj godziny pięli się żołniérze w górę, poczém nieznajomy zaprowadził ich nad koryto wodospadu, ocienione wysokiémi drzewami, i o téj porze roku zwykle wyschnięte. Na sto kroków nad tą przepaścią sterczała skała tworząca nasypem piaskowym wyniosły pagórek, po którym się wił mały potoczek. Tędy wiódł nieznajomy krętą i tak wązką ścieżką, że tylko po jednemu iść było można. Na wierzchowinie odłamu skały otwiérał się parów idący w różne między dwoma górami zakręty, i tak ciemno-ponury sosnowémi lasy i gęstemi krzaki, że zgroza brała weń spojrzéć.

»Którędyżto prowadzisz? To jakaś przeklęta droga!« przemówił Larose do przewodnika, gdy się już oddalili od wodospadu.

»Ci, których szukamy, nie przebywają na otwartém polu, ani na gościńcu,« odrzekł nieznajomy. »Skoro tylko ten parów przebędziemy, nasza wygrana... Ale, ale, ludzie zmęczeni, niech trochę wypoczną, zatrzymajcie się tu przez chwilę, ja pójdę naprzód na zwiady.«

Oddział się zatrzymał. Hiszpan utykającą tamowany nogą, piął się zwolna pod górę ścieżką prowadzącą do potoczka. Stanąwszy na górze, zatrzymał się przez chwilę, a spojrzawszy na dół na żołniérzy, zniknął za wysokiemi drzewami. Młody oficer, który go nie spuszczał z oka, wzdrygnął się mimowolnie; zdało mu się, że jakąś dziwną ujrzał w przewodniku zmianę; postawa jego zdawała mu się śmielszą i silniejszą. Ale nim jeszcze mógł się nad tém zastanowić, dała się słyszeć jakaś wrzawa w lesie, a głos przewodnika wołał o pomoc.

Młody oficer spieszy z żołniérzami, lecz zaledwie na trzy kroki zbliżył się do wodospadu, pada bez życia ugodzony kulą. Po piérwszym wystrzale następuje drugi i trzeci, dwaj inni oficerowie podzielają los piérwszego. Błysk wystrzałów zamigotał na chwilę przez gałęzie sosen, lecz kto te mordercze kule wysłał, nie było widno. Stratą swego przewodnika zalęknieni żołnierze wystrzeliwszy na ślepo karabiny, cofali się w nieładzie, trupów z sobą zabrawszy. Śród ich spiesznego odwrotu nowe z ciemni lasu padły wystrzały i ubiły kilku żołnierzy. Zaledwie się ostatni z nich z tego nieszczęsnego usunął miejsca, ukazuje się jakiś człowiek z trzema strzelbami na plecach, spieszno i zręcznie przemyka się po-przed koryto rzéki, znika w ciemności lasów sosnowych, zkąd znowu bez broni wraca, a zatrzymawszy się na chwilę na tém miejscu, gdzie Francuzi polegli, i wpatrzywszy się z radością w małą kałużę krwi z trupów poległych, opuszcza parów i uchodzi szybkiémi kroki. Przerzedzony oddział żołniérzy zatrzymał się na chwilę przy pobliskiéj wsi, gdzie dostawszy wozu z wołami na trupy poległych, puścił się daléj w drogę, aby przed nadejściem nocy dostał się do załogi. Lecz zaledwie wieś opuścili, usłyszeli za sobą głos wołającego; był nim kulejący przewodnik, z przewiązaną skrwawioną głową. Zdziwieni żołniérze nagłém ukazaniem się jego, otoczywszy go dokoła, nalégali nań, aby im opowiedział, co się wydarzyło i jak uszedł rąk nieprzyjacioł.

»Zaledwie w las wstąpiłem« — tak opowiadał przewodnik — »napotkałem człowieka, który mię uderzeniem strzelby tak mocno o ziemię powalił, że utraciłem zmysły. Gerylasowie — lub może to inni byli — mając mię za umarłego, porzucili mię w takim stanie. Gdym przyszedł do siebie, byłem sam tylko jeden; pospieszyłem więc, o ile mogłem, za wami.«

»Dobrze, że was tu znowu widzę,« przemówił kapral, który teraz dowodził oddziałem. »Musicie nam towarzyszyć do Tora i tam rzecz całą opowiedziéć. Jabym nie umiał zdać z tego wypadku sprawy, mało co bowiem widziałem, ciemny parów zabiérał nam widok z-przed oczu. Usiądźcieno na tym wozie z trupami; może się wzdrygacie?«

»*Ningunamente,* bynajmniéj,« odrzekł Hiszpan, i zajął miejsce na trupach.

Już słońce było zaszło, żołniérze wstrzymani powolną jazdą drabiniastego wozu, zaledwie małą część drogi przebyli, gdy wtém dał się słyszeć tętęt kopyt końskich, a wkrótce ukazał się oddział lekkiéj konnicy.

»Dokąd i zkąd?« zapytał oficer dragonów.

Kapral opowiedział wszystko, co się stało. Dowódzca oddziału spłonął gniewem dowiedziawszy się o téj klęsce, i łżymał się na żołniérzy, że ustąpili z hańbą przed garstką zbrojnego chłopstwa. Zatrzymawszy swego konia, kazał żołniérzom naprzód postąpić, aby obejrzał trupów.

»Ten oto jest naszym przewodnikiem,« ozwał się kapral. »Utyka na nogę, i został przy téj potyczce raniony, dla tego pozwoliłem mu na wozie jechać.«

»Hm, to jego wina, że was tak porażono. Hola kulasie, czemużto zaprowadziłeś żołniérzy na takie niebezpieczeństwo?«

Hiszpan milczał; oficer myśląc, że śpi, trącił go końcem pochwy od szabli, lecz za drugiém spojrzeniem przekonał się, że przewodnik czuwa, i wpatruje się śród ciemności świecącémi oczyma w pytającego.

»Czy ten bałwan głupi czy pijany?« rzekł gniewnie oficer. »Odpowiadaj! Czy słyszysz? Miałeś oddział żołniérzy zaprowadzić do kryjówek tego niewidomego zbójcy, a połowa ludzi zginęła marnie. A wiész ty ptaszku, że, gdybym wytropił jaki ślad zdrady, mógłbym cię na pierwszém drzewie powiesić kazać?«

»Jak się Waszéj Excelencyi podoba,« odrzekł Hiszpan grubym głosem. »Nie moja w tém wina, i nie jest jeszcze za późno powetować tę stratę, jeźli Wasza Excelencyja nie odmówisz swojéj pomocy.«

»Cóż chcesz przezto powiedzieć?« zapytał oficer. »Cóż począć z konnicą w wąwozach, gdzie się ci gerylasy zwykle ukrywają?«

»Wiele, bardzo wiele, można zrobić, przynajmniéj w tym przypadku: Niewidomy i ludzie jego, poraziwszy dziś z rana wojsko, nie będą się téj nocy obawiać nowego napadu. Znane mi są wszystkie kryjówki, z pewnością więc mogę zaprowadzić tam, gdzie téj nocy Niewidomi przebywać będą. Jestto jaskinia łatwo przystępna konnicy, bo droga z-wolna prowadzi pod górę. Myślałem już to poradzić piechocie, ale są bardzo znużeni i na umyśle upadli przez śmierć swego naczelnika.«

Na te słowa rzucił oficer z niedowierzaniem przenikliwe spojrzenie na przewodnika, a potém odwróciwszy się, jechał tuż obok wozu, tak blisko, że mógł ręką dosiągnąć złożonych na nim trupów. Przewodnik siedział nieruchomo, wlepiwszy spojrzenie w oficera, jak gdyby oczekiwał zaczęcia rozmowy. Po upływie kilku minut, zaczął się z-wolna, pocichu na rękach podnosić i przechylił się na tę stronę wozu, po któréj oficer jechał, a to tak blisko, że się prawie o krzyże konia ocierał; w takiéj postawie błysnął mu w prawéj ręce nóż zabójczy, twarz jego strętwiała jak u posąga, tylko dzika radość żarzyła się mu w oczach, a ciemne rysy twarzy występywały z-wolna żywym ogniem z jéj skamieniałości. Ręka jego drżała, chwila jeszcze, a byłaby zadała cios śmiertelny.

»Czy można temu człowiekowi wierzyć?« zapytał oficer spiąwszy konia i zwróciwszy się w poskoku przed front żołnierzy, na których czele szedł kapral.

Ten spojrzawszy po-za siebie na wóz, na którym przewodnik jak gdyby bez życia rozciągnięty leżał, odpowiedział: »Jenerał nasz używał go często, mówiono, że już nie raz okazał się bardzo usłużnym. Nasz biédny porucznik zdawał się w nim pokładać zupełne zaufanie.«

Oficer nawrócił znowu do wozu. »Gdybym przyjacielu zamiar twój przyjął i udał się na złowienie tego łotra, czy daleką będziemy miéć drogę i jak nam będziesz towarzyszył, bo przecież na wozie nie sądzę abyś..«

Hiszpan namyśliwszy się przez chwilę, odrzekł: »Drogą kilka mil tylko, i jest dobra. Co do mnie, każcie któremu z ludzi zsiąść z konia, nie jestem tak mocno ranny, mogę konno...«

»Dobrze,« odrzekł oficer. »Ale musimy się pierwej umówić. Posłuchaj: Na głowę tego niewidomego złoczyńcy jest nałożona cena 1000 talarów. Połowa z téj sumy będzie moją, jeźli się on w nasze ręce dostanie. Jeźli ci to w niesmak, idźże sobie sam schwytać tego łotra, lub wracaj do Tora, gdzie cię za to kula czeka, żeś w zasadzkę zaprowadził i zgubił tylu żołniérzy.«

»Zgadzam się na to, i bądź Wasza Excelencyja pewny, że jakakolwiek spotka mię nagroda, wiernie się podzielę.«

»Jeszcze nie wszystko,« mówił daléj oficer. »Podobnym jak wy ludziom wtedy tylko wierzę, kiedy ich mam przed oczyma; postaram się więc o to, abyś mię po-omacku w pole nie wywiódł. Bądź pewny, że za najpierwszém podejrzeniem zdrady, kula w głowie twojéj ugrzęźnie.«

Hiszpan nic na tę groźbę nie odpowiedział, a na koń wsiadającemu uwiązano w około stawu ręki mocny sznur, którego drugi koniec trzymał dragon siły herkulicznéj. Oficer stanąwszy po lewéj ręce od przewodnika, wskazał z oznaczeniem na olstry z zatkniętemi pistoletami, a za danym znakiem ruszyli wszyscy ku górom. Noc była ciemna, ani jedna gwiazda nie świeciła na niebie. Po dwugodzinnéj przeprawie przez drogi polne wijące się różnémi zakrętami, co bynajmniéj nie wzbudzało podejrzenia w dowodzącym oficerze, zaczęła iść droga pod długie, tak z-lekka wznoszące się wzgórza, że konie zwolna i bez natężenia postępowały. Blizko dwie godziny trwał ten pochód pod górę, a jeszcze nie było końca, oficer począł się niecierpliwić.

»Mamyż aż do świtu na tę leźć górę?« zapytał przewodnika, utkwiwszy weń wzrok podejrzliwy i gniewny, »lub może nie jesteś w stanie dotrzymać twego przyrzeczenia i obawiasz się przyznać do tego?«

»Przeciwnie Senor,« odrzekł Hiszpan cichym, szepcącym głosem. »Jesteśmy już blisko miejsca, gdzie niezawodnie znajdziemy to, czego szukamy. Niech się żołniérze cichaczem zformują w jednę kolumnę, aby na jedno skinienie mogli puścić się cwałem i otoczyć nieprzyjaciela. Miejmy się na baczności, bo gerylasy mogliby nam umknąć śród téj ciemnéj nocy, gdyby postrzegli, że się zbliżamy.«

Zachęcony nadzieją, że wkrótce wyprawa ta szczęśliwie się powiedzie, usłuchał oficer rady przewodnika. Stanęli nareszcie na samym szczycie góry. Ziemia była równą i pokrytą gęstą trawą, przez co głuchnęło uderzenie kopyt końskich.

»*Los veo!* Widzę ich!« szepnął przewodnik, »tam oto przechadza się straż dla bezpieczeństwa ustawiona.«

»Masz zapewne oczy kocie, że to widzisz,« rzekł oficer francuzki. »Wszakże tak ciemno, że łba konia mego nie widzę.«

»Tam, tam, widzisz Senor?« zawołał Hiszpan. »Niech się na komendę puszczą cwałem, bo ich wnet z oczu stracimy.«

»*Au galop!*« zawołał oficer dobywając szabli.

Dragoni spiąwszy ostrogami konie, pognali z kopyta jak wicher, lecz zaledwie sto kroków ulecieli — nagle urwał się odgłos kopyt, krzyk przeraźliwy rozdarł powietrze, a śród krzyku dał się słyszeć wściekły wykrzyk radości, i w téjże chwili — już wszystko ucichło.

Nazajutrz okropny przedstawił się widok mieszkańcom małego miasta Benewentu, gdy się ku górom do swojéj pracy udać mieli. Na dnie przepaści na kilkaset sążni głębokiéj, leżały ciała trzydziestu dragonów wraz z końmi; wielu już nie żyło, a wszyscy byli ciężko pokaleczeni. Między trupami znaleziono człowieka w ubiorze wiejskim, a z nim francuzkiego oficera, w którego szyję miał wbite paznokcie palców. Poznano w nim mieszkańca pobliskiéj okolicy, byłto Estaban Lanz. — Tych kilku dragonów, którzy, chociaż mocno pokaleczeni, przecież jeszcze ostali się przy życiu, zawieziono do francuzkiéj załogi. Ci opowiedzieli: że właśnie w téj chwili, kiedy mniemali bandę gerylasów miéć w ręku, oszukany ciemnością nocy przewodnik, zaprowadził ich w przepaść, która dla wielu z nich tak zgubną była. — Wysłano oddział wojska, aby pogrzebano trupy, i tak, razem z ciałem oficera Pizaniego, który oddziałem dowodził, z zwłokami przewodnika i 23 dragonów, wszystkich złożono w jednym grobie. Przepaść poniżéj Benewentu, nosi dziś jeszcze nazwę: *Salto de los Franceses* (Skok Francuzów) na pamiątkę tego okropnego zdarzenia.

Od téj chwili nie słyszano już w Katalonii o »Niewidomym Nieprzyjacielu.«

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 10. i obejmuje: 1) Jakiéj gleby i jakiego ochodzenia potrzebują owe gatunki roślin pastewnych, które dla doświadczenia sprowadziła redakcyja dla swoich abonentów? (Dokończenie.) 2) O czém teraz myślić? rozprawa pana Fr. Walickiego. 3) Przepis robienia rumu. 4) Przepis robienia araku.

Pani Trembicka znana z swych pamiętników wydała w języku francuzkim w Paryżu, pod tytułem: *Marguerite de Hijar*, powieść w dwóch tomach z czasów Alfonsa aragońskiego.

Statystyka akademii francuzkiéj. *L'académie française*, która wzięła początek w roku 1629 jako towarzystwo prywatne, w roku zaś 1635 przez Richelieugo na stopień akademii wyniesioną została, liczyła od chwili założenia aż do dnia dzisiejszego w swojém gronie książęcia ze krwi królewskiéj, 13 kardynałów, 4 arcybiskupów, 6 marszałków Francyi, 20 ministrów, 15 nauczycieli książąt panujących i wiele innych wysokich i znakomitych osób. Między jéj członkami znajdowali się mianowicie Corneille, Racine, Lafontaine, Bossuet, Boileau, Fénélon, Voltaire, Montesquieu, Laburyére, Buffon, d'Alembert, Cuvier, i Casimir Delavigne. Przeciwnie postrzegamy z zadziwieniem, iż mężowie jak Descartes, Pascal, Rotron, Molière, la Rochefoucauld, Ménage, St. Réal, Regnard, Bourdaloue, Chaulieu, Jean Jacques, Jean Baptiste Rousseau, Bayle i Piron nie byli przyjęci w grono tego uczonego zgromadzenia.

Szybkość angielskich wyścigów konnych. Na sławnych gonitwach angielskich w Newmarket biegały niektóre konie w rzeczywistém znaczeniu tego słowa prędzéj niżli »na skrzydłach wiatru.« Podług wyrachowania Derhama wynosi szybkość najmocniejszego wiatru w Anglii tylko 66 stóp angielskich na sekundę, jeden koń zaś, nazwiskiem Germain, ubiegł w 4 minutach przestrzeń 4 angielskich mil. W r. 1745 założył się pocztmistrz Thornhill w Stilton, iż w 15 godzinach 215 mil angielskich ubieży i wygrał zakład.

Napoleon na pobojowisku. Dziennik *Sentinelle de l'armée*, który od czasu do czasu podług pewnych źródeł ciekawe szczegóły z życia sławnych wodzów ogłasza, zawiéra co następuje: Ile razy Napoleon pomiędzy swymi żołniérzami się znajdował, jeździł zawsze na koniach arabskich, o francuzkiém siodle i czerwonym aksamitnym czapraku, który był zawsze tego samego koloru i podwójnym złotym galonem obszyty. W dniach przeglądów wojskowych miéwał czaprak ze złotémi freuzlami i na około w liść haftowany: a koń był całkiem jedwabną siatką pokryty. W olstrach były zawsze dwa nabite pistolety, które jeden z mamelukôw jego w porządnym stanie utrzymywał. Oprócz tego znajdowały się jeszcze w olstrach pieczona kura, butelka Bordeaux, chléb i kubek do picia. Srebrny flakon z starym koniakiem służył rzadko samemu Napoleonowi, lecz zato bardzo często żołniérzom, którzy przy jego boku ranieni byli. Nocując nie kładł się nigdy Napoleon, tylko siadał odwrotnie na krześle, na którego przed siebie obróconym grzbiecie zazwyczaj się opiérał, a nareszcie zasypiał. Jeżli był czas dżdżysty, wsiadał do podróżnéj landy, zaopatrzonéj w materac i stolik do pisania. Codziennie, nawet w dnie bitwy, robił Napoleon staranną toaletę, pielęgnował troskliwie swe piękne ręce i golił sobie brodę. Przy wyruszeniu Napoleona na wyprawę rosyjską w roku 1812, potrzebowano dla niego i jego najbliższego orszaku 70, zaś do transportu jego bagażów 140 koni. Powozy cesarskie dzieliły się na trzy klasy; do piérwszéj należały 2 powozy samego Napoleona, 2 przeznaczone dla jego adjutantów, 4 lekkich powozów berlińskich *en reserve*, i 3 powozy gabinetowe; do drugiéj klasy należało 12 powozów z kuchnią i garderobą, przyczém oraz namioty i jedno czółno wieziono. Powozy z ważnemi papiérami szły zawsze w pośrodku starej gwardyi. Podczas bitwy miał Napoleon zwykle dwa konie, jeden z tych był ów sławny siwosz; trzeciego konia używał Napoleon tylko podczas pochodu.

Najmłodsza córka Łucyjana Bonapartego 24letnia piękna uprzejma księżniczka Konstancyja. wstąpiła do francuzkiego klasztoru Monte Vincio w Rzymie. Dla celujących zdolności została wybraną, aby utworzyć zakon filijalny w Polsce, dokąd się też ma udać na lato. Brat jéj, książę Mussignano przebywa w Rzymie jako człowiek prywatny o miernym majątku, gdyż jego ojciec rozprzedał większą część swoich wil i pałaców w Rzymie. Dwaj inni synowie Łucyjana bawią w Toskanie.

W pewném mieście miano dyrektora teatru wynieść na godność honorowego członka filozofii, ponieważ wszystkie pociski szyderstwa i publicznéj niechęci, umiał znosić ze spokojnością filozofa.

Słoń aktorem. Że i słoń dobrym aktorem być może, okazało się na scenie w Marsylii, gdzie ten rubaszny panicz 33 razy raz po-raz występował. Był on uczniem braci Maffoy, którzy wiele krajów zjechali, produkując swego słonia na najpiérwszych teatrach, w rolach gościnnych. Sztuka, w któréj występował, nazywała się: »Kiouny, czyli Słoń i Paź,« i miała naturalnie o tyle tylko wartości, o ile się w niéj dziwna pojętność źwiérzęcia objawić mogła. Najtrudniejszémi i najpiękniejszémi scenami słonia Kiouny, były: oswobodzenie swojego pana z wieży, przyczém mu pilnik w górę podawał i śpiącemu stróżowi nadzwyczaj chytrym sposobem klucz wykradał, potém taniec niezgrabnego zwierzęcia w weselnym korowodzie, wreszcie walka z gadziną, i jego osobliwie podziwienia godna śmierć od ognia z ręcznéj broni ścigających go wrogów. Najpiękniejszą wszakże a oraz i najczulszą częścią gry jego była owa scena w ostatnim akcie, gdy jego pani z płaczem swego dziecięcia szuka, które w lesie zgubiła. Wtedy okazuje się wierny Kiouny w głębi i niesie na trąbie dziéwczynę wołającą swéj matki. Lecz oto rwący strumień wstrzymuje kroki słonia; wyrywa więc drzewo z ziemi, kładzie je mostem przez wodę, stąpa po téj wąziutkiéj kładce i podaje dziécię w objęcia matki. Długie, szumne oklaski wznoszą się na pochwałę wybornéj sztuki! Olbrzymie zwiérzę postąpiło o kilka kroków naprzód i spojrzało swémi roztropnémi oczyma na publiczność; zdawało się przecież nie mieć najmniejszego wyobrażenia, aby te huczne oklaski jego się tyczyły. Cała gra Kiounyego była jak najdoskonalsza, był zawsze w swoim czasie na scenie, wychodził i odchodził sam bez przewodcy, słuchając tylko swojéj wiernéj pamięci.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.